

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Gdańsk
Wąły Jagiellońskie 24

41652

RZYMOWSKI



**ROMAN
DMOWSKI**

**CZCICIEL
DJABŁA**

WJ

es

1900

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

TEGOŻ AUTORA:

Polskie — arcypolskie. Zbiór aforyzmów. 1919.

Piłsudski. Życie i czyny. Wyd. II. 1920.

Sygnaly historii. Studja. 1929.

Okładkę skomponował Wojciech Jastrzębowski.

ROMAN DMOWSKI: CZCICIEL DJABŁA

WINCENTY RZYMOWSKI

*ROMAN DMOWSKI:
CZCICIEL DJABŁA*

SKŁAD GŁÓWNY:

GEBETHNER I WOLFF, ZGODA 9

WARSZAWA

1 9 3 2

WYDZIAŁ KULTURY

ROMAN DAWIDZKI:
CZCIEJ DĄBIA

k. 517/68



41652

WYDZIAŁ KULTURY
UL. SZPITALNA 10, WARSZAWA

Druk. Współczesna. Warszawa, Szpitalna 10.

I.

Ostatnia publikacja Romana Dmowskiego — „Świat powojenny i Polska“, która tyle zaciekawienia wzbudziła u zwykłych czytelników, nie ma szczęścia do komentatorów.

Nie znaczy to, aby komentatorzy i sprawozdawcy nie wysilali się na podbijanie książki swego mistrza aż pod sklepienia panteonu. Ale w ich najgorętszych pochwałach jest coś z peanu, granego na katarynce.

Chwałą, gdy Dmowski gromi powstania polskie, od Kościuszki i Dąbrowskiego do Traugutta, uznając te zbrojne porywy ku wolności za „bezsensowne“ i „pozbawione wszelkiej myśli“. Ale czuje się, że chwaliliby go także i wtenczas, gdyby w Raławicach lub Grochowie ujrzał coś więcej, niż „nonsens“, a w Dąbrowskiego marszu, wiodącym Legjony „z ziemi włoskiej do Polski“ coś więcej, niż „bezmyślność“. Podziwiają mądrość Autora, gdy na str. 329 kładzie na karb Żydów tryumf przewrotu bolszewickiego, ale nie przestają jej podziwiać i wtenczas, gdy na str. 346, jakgdyby zdrzemnąwszy się w antrakcie, mówi o upośledzeniu Żydów w państwie sowieckiem. Biją

czołem przed „historjozofją“, która apoteozuje Rosję i każe widzieć w niej przedmurze cywilizacji wobec Dalekiego Wschodu, ale podejrzewamy, że nie oparliby się też i tezie przeciwnej, któraby mówiła, że w boju z Rosją cywilizację wyższą reprezentował w r. 1904 żołnierz japoński, a w r. 1920 żołnierz polski.

Okaz takiego właśnie obosiecznego komentarza, podpisanego cenionem w obozie Autora nazwiskiem Władysława Folkierskiego, prof. Wszechnicy Jagiellońskiej, mam właśnie przed sobą („Gaz. Warsz.“ *). Komentarz ten dodatnio śród innych wyróżnia się tem, że stanowi, jakgdyby syntezę opinii narodowo-demokratycznej, w kornym pochylonej ukłonie przed majestatem Wyroczni. Tytuł „Na głębinach“ brzmi jak szczytna pobudka. Ale pod tytułem naprózno szukalibyśmy bądź głębin w samym komentarzu, bądź otwartej ku głębinom drogi w komentowanych tezach i cytatach z dzieła Romana Dmowskiego.

— Czytając książkę Dmowskiego — oznajmia prof. Folkierski — zapadamy co chwila w głąb... Książka... na głębokich oparta korzeniach... Z wszystkich rozdziałów książki na plan pierwszy wybija się rozprawa o Rosji... Na głębinach wszystko z wszystkim się łączy... Dmowski wie aż nadto dobrze, że Polacy są przedewszystkiem konsumentami obcego myślenia; jakież to cenne, że zapisał się sam do cechu producentów!... Samo proklamowanie

*) Nr. 316, r. 1931.

problemu rosyjskiego, jako centralnego w świecie, zakrawa już na czyn...

Z tych kilku przypadkowo wybranych zdań, pełnych tkliwego liryzmu, widać „aż nadto dobrze“, że stosunek komentatora do pracy komentowanej „zakrawa“ na pobożną kontemplację wyłączającą wszelką myśl badawczą i krytyczną. Do przeniknięcia „głębin“ Dmowskiego pragnie szanowny profesor dotrzeć, poprostu, w drodze deklinowania tego melodyjnego wyrazu podobnie, jak muła mahometański utrwała się w poczuciu wielkości swego Boga, powtarzając „Boże, jakżeś wielki!“

Nie zdziwi nas przeto, że, idąc po linii najtańszej admiracji, sprawozdawca stanie wkońcu przed wychwalaniem dziełem, jak przed witryną jubilera i zacznie zewnątrz wybierać co jaknajskrawsze, jak się fachowo wyraża, „znaleziska stylu“ — przenośnie i porównania — delektując się każdym, jak owa sroka z bajki, polująca na błyszczące świecidła.

— Są tam — zachwyca się prof. Folkierski — przejmujące metafory, jak ów obraz wojny, niby olbrzymiej maszyny „puszczonej w ruch, niewiadomo, przez kogo, z jakiej przyczyny...“

Oto, dokąd naiwny panegiryzm zabrnął w obłoku kadzidłanych dymów: w dorobku człowieka, który sam o sobie twierdzi, że walny miał udział w odbudowaniu Państwa Polskiego, podnosi się, jako zasługę, że piękne buduje zdania i malownicze układa zwroty... Więc aż tyle

zarliwego pietyzmu musi w sercu wyznawcy się spalić, aby człowiekowi, który, jak mówi, znalazł drogę do niepodległości, stawić pomnik za „znaleziska stylu“?

Nie! Wielkie grzechy Romana Dmowskiego nie były błędami przeciw formie literackiej, więc też i zalet jego nie należy szukać w dziedzinie literackiej.

Portret męża stanu niewiele zyskuje, gdy go w ramy najlepszego oprawimy stylisty. Jan Henryk Dąbrowski z trudem w słowie i piśmie skażoną z początku, zawsze nieskładną posługiwał się polszczyzną: czyż myśli i czyny jego mniej przeto były dla narodu zbawcze, że w ułomnem tłumaczyły się słowie? Batory wcale pono nie mówił po polsku: nie przeszkadza to temu, że w piersi swej niósł wolę i los narodu.

Roman Dmowski jest mężem, który zbyt znaczny wyrył ślad w ostatniem polskiem ćwierćwieczu; zbyt ciężko na dziejach Polski odradzającej się i odrodzonej zawążył, aby kwitować go zdawkowemi pochwałami za „głębinę“, których nie próbuje się przeświecić, albo za metafory, któremi „głębinę“ owe mają być kunsztownie nakryte.

Jeśli książki i artykuły Romana Dmowskiego zyskują licznych czytelników, to zawdzięczają to z pewnością nie jakimś szczególnym kunsztownościom stylu, ale właśnie temu, że każdy, kto je czyta, żadnego w nich kunsztu nie dostrzega.

Roman Dmowski jest realistą — rzekłbym nawet fa-

natykiem i niewolnikiem realizmu — wyposażonym w niezmiernie żywy dar obcowania ze zbiorowością w jej społecznych i politycznych przejawach, ale w przejawach, zamykających się zawsze na ściśle ograniczonym terenie. W tym niewątpliwym realizmie tkwi siła Dmowskiego, ale w nader wązkim zasięgu tego realizmu spoczywają wszystkie zarody jego niemocy.

U podstaw realizmu, jak wiadomo, odnajdujemy zawsze bystre, niezawodne oko obserwatora. Dmowski jest niewątpliwie obserwatorem bystrym, przenikliwym, ale obserwatorem osobliwego pokroju. Mało znajdziemy w Polsce umysłów, któreby z taką, jak on, ostrością widziały to, na czym zdołają skupić swój wzrok i uwagę; ale niewielu też znajdziemy ludzi, dla których świat cały tak wyłącznie sprowadzałby się do jednego odcinka, do jednego czynnika, do jednej jakiejś kwestji, ba! nieraz do kilku przypadkowych figur, dowolnie na plan pierwszy wysuniętych.

Stąd to pochodzi owo naturalne, przy nieuprzedzonej lekturze, wrażenie, że realizm Dmowskiego, tak bystro patrzący na świat,

patrzy nań zawsze jakby z okien
zaścianka.

Ten realizm, ta trzeźwość, ten rozsądek mają w sobie coś tak bardzo przekonującego, że aż wydają się zdobywcze: ale zdobycze te bywają zawsze odrębnymi pozy-

cjami, które nie układają się w żadną linię logiczną, w żadną całość.

W przedmowie do swej ostatniej publikacji Autor ostrzega, aby nie poczytywać jej za książkę — książka bowiem, jak mówi, powinna stanowić „jedną dobrze zbudowaną całość“ — tylko za zbiór artykułów. Jest to przestroga zbyt uczynna. Żadna publikacja Romana Dmowskiego nie może być niczem więcej, jak tylko zbiorem artykułów, gdyż sama rzeczywistość, jaka odbija się w jego mózgu, jest sumą fragmentów związanych ze sobą luźno, jak talja kart. Z talji zaś kart, wiadomo, można wróżyć przyszłość, można stawiać domki, można stawiać kabałę, ale nie można stworzyć książki.

Ten fragmentaryzm, ta odcinkowość, ta, poniekąd, zaściankowość w realizmie Dmowskiego stanowi, powtarzam, jednocześnie i jego siłę i jego niemoc. Siłę, gdyż w ramach zakreślonych odcinkiem widzenia, pozwala mu mieć argumenty tak dosadne i proste, na jakie zdobyć się nie może nikt, nad szerszemi panujący widnokęgami. Ale ta sama właściwość staje się sprawczynią nieuleczalnego w jego rozumowaniu deficytu, który zawsze występuje w końcowym bilansie jego rachub, krzyżując wnioski i wywracając najbardziej niezachwiane prawdy.

Prawdy te, może słuszne w oderwaniu od całości, walą się, jak domki z kart, pod uderzeniem prawd większych i potężniejszych, których Autor ani dostrzec, ani ująć nie umie, bo są prawdami nie z jednego odcinka, lecz z roz-

ległego frontu, nie prawdami nacjonalizmu, ale narodu; nie prawdami jednej dzielnicy, ale całej Polski, wyra-
stają nie z jednego momentu, ale z syntezy dziejów.

Deficyt jest w myśleniu i postrzeganiu Dmowskiego zjawiskiem tak częstym, że nie mogło ono ujść władzom jego własnej kontroli i stało się w końcu czemś w rodzaju opętania, ścigającego niemal wszystkie jego kroki polityka i publicysty. Patrząc na długi szereg swoich niepowodzeń, na rozbitcie wszystkich swoich koncepcyj, zrazu tak świetne rokujących nadzieje, a potem rozbijających się o niespodziane zapory, Dmowski nie umiając sam w sobie dociec źródeł ich klęski, szuka ich poza sobą, wciela w urojone a złośliwe siły, w anonimowe sprężyny intryg, w uosobiony czynnik zła i przewrotności, w starego wysłannika piekieł: w djabła!

Nie mogąc ocalić swej polityki czynu, Dmowski pragnie ratować honor swej filozofji i — ostatecznie — zawiąza do portu naiwnej demonologii. Polska, w którą każe nam wierzyć, przypomina średniowieczne zamczysko, w którym „coś straszy“, w którym

d j a b e ł „ b r o i “ i k r z y ż u j e
n a j c n o t l i w s z e z a m i a r y .

Djabieł ten miewa różnorakie lica i w zależności od miejsca i momentu zmieniać może kostjum, perukę, zawód, obywatelstwo, nawet płeć i narodowość. Raz występuje, jako socjalista i mason, to znów jako żyd, niemiec

lub chińczyk, jako fraucymer carowej, jako „komiwojażer w kłopotcie“, niekiedy jako przygodny doradca Jerzego Clemenceau albo sekretarz Lloyd George’a, wreszcie jako w jednej osobie chałaciarz i bankier. Lecz we wszystkich wcieleniach stale do jednej powołany jest roli, jedną pełni misję: powołany jest do usprawiedliwienia wszystkich klęsk i niepowodzeń Romana Dmowskiego, w rzeczywistości zaś pokrywa wszystkie niedobory i błędy jego politycznych przedsięwzięć i koncepcyj. Raz wynaleziony, djabeł ów stał się rekwizytem tak cennym i opatrzościowym, że jego rogiaty cień igra na marginesie każdej niemal tezy Dmowskiego, jako asekurator, jako korektor, jako ubezpieczenie na schyłek kariery!

Niedarmo, przed laty dwudziestu kilku, „Przegląd Katolicki“, w polemicznej odpowiedzi na lekkomyślne groźby Romana Dmowskiego, skierowane przeciw Kościołowi, odpowiedział wiele mówiącym werselem z Ewangelji: „Co masz czynić, czyn rychlej!“ *) W odpowiedzi tej tańło się głucho, lecz złowieszcze proroctwo. Ten, który swój zawód polityczny zaczynał od walki z duchowieństwem, kończy go, jako czciciel djabła.

*) Słowa przez Jezusa zwrócone, podczas ostatniej wieczerzy, do Judasza z Kariotu.

II.

Jak głęboko założona jest w naturze Dmowskiego dążność do zamykania się w ciasnych szrankach, widać stąd, że, panując nad jego intelektem, przenika ona zarazem do samego dna jego uczuć. W tym człowieku nietylko wzrok i myśl, ale i namiętność, aby rozplonąć mocniej, musi na ograniczonym zogniskować się wycinku.

Aby móc nienawidzić Niemców, Dmowski musi do serca przyciskać Moskala. Aby wywyżżyć cnoty wielkopolan, musi poniżać rodaków z Kongresówki. Jego to głównie dziełem stał się zapalczywy sport przeciwstawiania w Państwie Polskiem jednej dzielnicy — drugiej, jąt-rzenie partykularyzmów i łechtanie słabostek lokalnych wyhodowanych przez kordony niewoli.

Na przykładzie powyższym widać, jak partykularyzm myślenia łączy się w Dmowskim z partykularyzmem politycznym, a jednocześnie widać i to, jak oba te pierwiastki niweczą i do absurdu doprowadzają wszystkie jego na szerszą miarę poczęte założenia.

Jeśli bowiem jest w Polsce człowiek, który powinienby stać jak najdalej od gry separatywnów dzielnicowych,

to tym człowiekiem jest ten, który dobrodziejstwo *zjednoczenia* ziem polskich stawiał ponad niepodległość. Czyż na to chciał obalić kordony, ryte w ziemi, aby pogłębiać ich stygmaty, wyryte w duszach polskich?

Jeśli zaś chodziło o to, aby w obliczu odzyskanej wolności oszacować i porównać dobra duchowe, przez wszystkie trzy dzielnice wniesione na łono wspólnej macierzy, to Dmowski powinien być chyba ostatnim z tych, którzy gotowi byłiby premjować cnoty polskie, wykute młotem Hohenzollernów. Wszak Prusy w jego doktrynie były nie kuźnią hartu, ale zagładą polskości. Inaczej, jakże wytłumaczy on, że pod berłem carów rosyjskich szukał ostoju i uciezki przed Niemcami?

Ale taka jest już umysłowa struktura Romana Dmowskiego. Ten zjednoczyciel ziem polskich

n i g d y j e d n ą n i e o b j ą ł m y ś l ą
c a ł e j P o l s k i.

Gdy stanął twarzą ku Prusom, tonął w słowiańszczyźnie, lub co gorsza w panslawizmie. Gdy próbuje przeciwstawić się rozkładowym wpływom Rosji, bezwiednie składa hołd stuletniemu osadowi, jaki szkoła i administracja niemiecka nawarstwiła w duszy wielkopolan.

— Aby talent pisarza politycznego w Dmowskim mógł przedstawić się w całej pełni, trzeba wyjątkowych okoliczności. Trzeba mianowicie, aby w polu jego widzenia

i jego pasji znalazła się sprawa słuszna, prosta, elementarna, jak głos instynktu. Wtenczas przyznać należy, rodzą się z pod pióra Dmowskiego rozdziały o tak przejrzystej wymowie, jak „Nec plus ultra“, jak wszystko to, co napisał w swej ostatniej publikacji o niewzruszoności polskiej zachodniej granicy.

Sama prostolinijność ujmowania i jednostronność czucia staje się tutaj zaletą, staje się źródłem siły, która podnosi wagę argumentów i tez, odsuwając w cień wszystkie składniki postronne i ich komplikacje.

Kontury, w jakich sprawa taka jawi się jego oczom, mają w sobie coś brutalnego w swej nieprzejednanej, kanciastej wyrazistości: ale jest to brutalność realizmu, który zjednywa swą prostotą i nie razi prostactwem.

Przenieśmy się z odcinka frontu zachodniego na niemniej konkretny odcinek naszej polityki wewnętrznej, dotyczący zagadnienia redukcji i uproszczenia maszyny państwowej, a uderzy nas w artykułach Dmowskiego ten sam trzeźwy, gospodarczy rozsądek, ten sam pozytywny realizm dokładnego lecz krótkiego wzroku.

Rozbiór, jakiemu Autor poddaje koszty utrzymania państwa oraz wszelkich związanych z niem instytucyj, uwydatniając nadmierny rozrost armatury biurokratycznej i kładąc nacisk na konieczność radykalnych w tej dziedzinie oszczędności, tembardziej zasługuje na uwagę, że nacechowany jest szczerością, graniczącą z samobiczowaniem.

Wypowiadając swe „Nec plus ultra“ wobec rewizjonistów niemieckich, Dmowski czuł poza sobą nietylko front swego stronnictwa, ale solidarność całego narodu. Przedsiębiorcą, natomiast, analizę i krytykę „rozbudowy“ Państwa Polskiego“, w początkowym zwłaszcza, zasadniczym jej okresie, zdobyć się musiał na słowa gorzkiej prawdy pod adresem obozu, którego czuje się inspiratorem i wodzem.

Obozowi temu nie szczędzi on przygany wręcz zelżywej, gdy mówi: „Najcięższym staje się położenie tych narodów, które przed wojną światową miały największy przemysł, i tych, które po wojnie miały najgłupsze rządy“. Czyż wyznanie to w ustach Romana Dmowskiego nie brzmi poniekąd, jak:

„M ó w i ę, b o m s m u t n y i s a m
p e ł e n w i n y“?

Ostrze tak twardo wyrąbanej prawdy Autor ubocznie ledwo łagodzi, zastrzegając, że obok jego własnych przyczyn politycznych zawinił także i inni, a właściwie wszystkie zawiniły partje, rej wodzące w pierwszym sejmie, t. j. wtenczas, gdy, jak wiadomo, Naczelnik Państwa, wspólnie z najpatryjotyczniejszą częścią narodu, pochłonięty był walką o byt Rzeczypospolitej i o jej granice: wszak jeszcze w r. 1921 sprawa ziemi wileńskiej była aktualna i napotykała znaczną opozycję we Francji i Anglii.

Nie żądajmy od przywódcy partyjnego, aby oddał sprawiedliwość Piłsudskiemu i jego idei: znaczyłoby to tyleż, co żądać odeń, aby dobrowolnie skoczył na stos partyjny i spłonął w jego ogniu. Niechaj wystarczy nam z jego strony stwierdzenie, że rozpoczynający swą praktykę państwową nasi działacze polityczni — czy to tworząc ustawy zasadnicze, czy to powołując do życia coraz nowe instytucje — nigdy nie pytali o to, czy to lub owo urządzenie jest konieczne, czy nie można się bez niego obejść, czy nie legnie zbytnim ciężarem na budżecie państwa?... (str. 103).

Wiemy, jak wstydliwą zasłonę na ten okres swawolnej rozbudowy zapuszczają starzy przyjaciele Romana Dmowskiego a także nowi jego sprzymierzeńcy. Jakże więc nie podjąć, że sam on karci za współdziałal w tej swawoli wszystkich: „i polityków, i urzędników, i rozmaitego gatunku ludzi interesu, i nawet artystów“; słowem, zarówno t. zw. lewicę jak i t. zw. partje prawicowe?

Można Dmowskiemu darować nawet tezę, że grupy prawicowe zgrzeszyły wtenczas mniej od innych, gdyż, rzeczywiście, same nie wiedziały, co czynią. Ich błędem była naiwność, z jaką uwierzyły, że postulaty lewicy to — ostatni wyraz myśli politycznej. Pospołu z lewicą obóz Dmowskiego zapatrzony był we wzory francuskie: ale wpływy Francji opierały się na słabej znajomości jej ustroju, na niezrozumieniu zarówno wad jego, jak zalet. Nie rozumiano, że Francja wykształciła swą administra-



cję pod rządami królów i Napoleona, jej zaś zwyczaje parlamentarne wyrobiły się i okrzepły w dobie przedstawicielstwa, opartego na wysokim cenzusie wyborczym, który izbom francuskim zapewniał wysoki poziom umysłowy: ma tedy republika francuska w tradycjach przeszłości potężną a niezbędną korektywę dla fluktuacji i kaprysów parlamentaryzmu. W czym korektywę tę znaleźć miała Polska, mająca za całą tradycję poza sobą —

stulecie niewoli, poprzedzone
stuleciem anarchji?

W tej pustce, wytworzonej zerwaniem tradycji państwowej, wybiły się, stwierdza Autor — my zaś powiemy: wybić się musiały — w pierwotnej „rozbudowie“ Rzeczypospolitej czynniki pozapaństwowe, lub wręcz państwu przeciwne, a więc „chęć stworzenia instytucyj, któreby światu imponowały; radykalizm społeczny, pozyskujący sobie masy dobrodziejstwami, które dla nich w ustroju państwowym przygotował, i potrzeba tworzenia posad dla mnóstwa ludzi, nie mających utrzymania... Na pytanie, kto to wszystko będzie płacił, była jedna odpowiedź: rząd“ (str. 104).

I znowu zastrzec wypada: nie oczekujmy od Dmowskiego, aby wdał się w ściślejszy rodowód tego użytkowego, oportunistycznego lub wręcz pasorzytniczego stosunku do Państwa ze strony pospolitego ruszenia mnóstwa obywateli, ciągnących na zdobycie posad. Musiałby

on przyznać, że to pospolite ruszenie ciągnęło nie od strony „zaklętych emigranckich mogił“, nie od starych pobojowisk powstańczych, tak solennie przezeń znieślawianych, i nie od świeżych szlaków legjonowych, na których krwawił się żołnierz Piłsudskiego: szło ono i legło się z ducha tych drobnych zabiegów, kompromisowych układów, trosk śpizarnianych i kramarskich rachub, w których obóz Romana Dmowskiego dreptał już od wielu lat przed wojną,

grzebiąc w duszy polskiej
polityka i żołnierza,
hodując zaś w niej
kramarza i cnoty
kramarskie.

Nie sięgając do korzeni, Dmowski gromi owoce tego krótkowzrocznego oportunistycznego, który o mało nie przywiódł do zguby Państwa Polskiego już nazajutrz po jego odbudowaniu. Gdy Wódz Naczelny z garstką najofiarniejszych walczył o granice Polski, w sejmie, poza jego plecami, kłócono się o dygnitarstwa, delegatury, przydziały, prebendy i prerogatywy. By zaspokoić apetyty jak najliczniejsze, dublowano stanowiska, fundowano zaszczyty, mnożono posady i urzędy.

— Rozbudowa państwa — przyznaje Autor (str. 107) — przeprowadzona została u nas nagle, bez liczenia się z dochodami narodu. Stworzyliśmy olbrzymią machi-

nę państwową, z mnóstwem instytucyj, wzorowanych na instytucjach narodów najbogatszych, będąc narodem ubogim. Gdy konieczność nas zmusiła do pokrywania kosztów utrzymania Państwa głównie z naszych bieżących dochodów, obciążono żywioly wytwórcze podatkami, zabierającymi taki odsetek ich dochodów, że to stało się hamulcem dla ich wytwórczości.

Czyż trzeba dodawać, że dalsze brnięcie w kierunku tak pojmowanej „rozbudowy“ oznaczałoby nieuniknioną katastrofę? — „Uchronić się od niej — pisze Autor — można tylko drogą ciężkiej operacji, prowadzonej stopniowo, przez lata całe, a polegającej na zredukowaniu naszej maszyny państwowej do zakresu ściśle niezbędnego“ (str. 108).

Któż, czytając te twarde słowa, nie powinienby skłonić głowy przed ich realizmem?

Niestety, realizm Dmowskiego, nawet w swej najlepszej postaci, bywa, jak rzekłem, tylko realizmem z zaścianką. Nie scala on zjawisk w kompleksy przyczynowe, nie zstępuje od symptomatów ku istocie choroby; nie obowiązuje do niczego; rodzi się i umiera w impasie.

Drogą, którą Dmowski zaleca Państwu i jego sternikom, gdybyśmy mieli brać ją poważnie, musiałaby stać się drogą tych właśnie oszczędności, które nakreślił i ją przeprowadzać rząd Piłsudskiego, wychodzący z założenia, że same redukcje urzędnicze nie odciążą budżetu i że odciążenia istotnego szukać trzeba w oszczędnościach rze-

czowych a przede wszystkim w zespoleniu urzędów i ograniczeniu ich funkcji a także w zrationalizowaniu pracy przedsiębiorstw państwowych.

Rozumując konsekwentnie, mielibyśmy prawo oczekiwać, że te pierwsze kroki i plany oszczędnościowe, jeśli gdzie, to w obozie Romana Dmowskiego powinny były znaleźć uznanie i poparcie. W rzeczywistości nie spotkały się one nigdzie z taką orkiestrą oburzenia; nigdzie nie stały się tak łakomym żerem demagogji, nigdzie tyle judaszowych łez nie wylano nad dolą „redukowanych“, jak tam właśnie, gdzie przyszłość Polski stawiano przed murem alternatywy: „albo redukcja — albo katastrofa!“

Lecz cóż sądzić o wodzu, który swe najcelniejsze prawdy wydaje na łup szyderstwa i poniewierki we własnym obozie?

III.

Motyw polskich granic zachodnich oraz motyw redukcji naszej machiny państwowej wskazują, że myśl Romana Dmowskiego najsprawniej działa tam, gdzie pokrywa się z narodowym instynktem samozachowania.

Ale co dzieje się wtenczas, gdy instynkt nie wystarcza albo zawodzi pod naciskiem namiętności osobistej lub stronnicej, a myśl nadal nie przestaje pracować?

Próbę tej pracy i jej wyników spotykamy już w początkowych rozdziałach publikacji, poświęconych kryzysowi i niebezpieczeństwu gospodarczemu, jakie zagraża Europie.

— „Kryzys — czytamy — nie minie tak, jak dawniejsze kryzysy mijały... będzie trwał, dopóki nie nastąpi likwidacja tego, co jest na upadek skazane; dopóki nie zmusi narodów do cofnięcia się z wielu dróg, na które w ubiegłym okresie były weszły i do znalezienia nowych dróg, których jeszcze nikt nie widzi“ (str. 79).

Cóż z tego apodyktycznego zdania da się wycisnąć? Chyba to tylko, że Autor tych nowych dróg, o których

mówi, sam nie widzi i nie umiałby wskazać kierunku, w jakim należy ich szukać.

Tak, ale jakimż tonem ów ubożuchny komunikat jest podany! Pospolite „ignoramus“ ubrane jest tutaj w nieomyślność Pytji delfickiej, wróżącej klęskę Krezusowi. „Tych — sroży się Autor — którzy nie będą umieli zrozumieć wytwarzającego się nowego położenia i do niego się nagiąć, czeka ostateczna ruina“.

Ładna perspektywa. Naprzód oznajmia się, że dróg i sposobów nikt wogóle nie zna. A potem się grozi, że kto się do nich nie nagnie, ten przepadł z kretesem.

Skąd w ekonomicznych prognozach Dmowskiego bierze się ta nieomyślność Pytji? Ten złowrogi ton puszczyka, straszącego po nocy?

Możnaby powiedzieć, że nieomyślność ta jest zabytkiem „dobrych“ starych czasów przedwojennych, gdy wódz narodowej demokracji nie potrzebował zdania swego publicznie z nikim konfrontować. Że wyniósł ją Dmowski z uprzywilejowanej akustyki dawnych wieców, celebrowanych przez siebie w Filharmonji warszawskiej, pod troskliwym puklerzem ówczesnej opieki rosyjskiej. Atmosfera i poziom argumentacji, które na wiecach tych, w gronie zamkniętem, rozstrzygały o laurach mówcy i o mandacie do Dumy petersburskiej, były, niewątpliwie, hodowlą tego typu umysłowego, który po dzień dzisiejszy pokutuje w Dmowskim. Przypomnijmy sobie, że nasza Pytja „wszechpolska“, wybrana do pierwszego Sejmu,

ani razu w nim ust nie otwarła, aby zetrzeć się z takim choćby przeciwnikiem, jak Daszyński lub Witos. Czy Dmowski gardził parlamentaryzmem? Być może. Najprawdopodobniej jednak ten realista z zaścianka nie chciał nieomyślności swej wystawiać na próbę, mogącą zadać jej poważny uszczerbek. Chował ją na lepsze czasy.

Ale pocóż sięgać tak daleko? Czy nie trafniej przypuścić, że Dmowski dlatego wnosi w kwestje ekonomiczne tyle dogmatyzmu, że styka się z nimi po raz pierwszy? Wiadomo, że nikt nie śpieszy się tak bardzo do rozcinania węzłów, jak ten, który ich nie umie rozwikłać. Główną, niemal jedyną przyczynę kryzysu gospodarki europejskiej Dmowski upatruje w utracie rynków zamorskich: zasada „jedynego czynnika“ jest w umysłowości jego takim samym kanonem interpretacji, jak w ideologii staroświeckiego marksizmu. Prostacy wszystkich krajów łączą się ze sobą.

Autor pamięta, że słuszność jego w tych niewielu sprawach, które rozsądkiem swym ogarniał i instynktem rozstrzygał, polegała na tendencyjnym uproszczeniu, na ograniczeniu uwagi do jednego pierwiastka, nieraz do jednego punktu. Cała potęga jego „nec plus ultra“ w obliczu spiętrzonych fali germańskiej płynie z uwydatnienia w całości kształcie problemu jednego czynnika, wskazanego instynktem, i usunięcia poza nawias uwagi wszystkiego, co go może komplikować.

Zauważywszy, że uproszczenie w pewnych wypadkach daje dobry efekt, Dmowski zaczyna je stosować i tam, gdzie musi ono prowadzić do dewastacji tematu. Przygodny monoideizm wzbija do godności zasady i czyni z niej swą filozofję, swą niemal religję poznania.

Świadomie lub podświadomie przenosi ów monoideizm z pola sporu politycznego na pole wszechświatowych procesów gospodarczych, stawiać we wrogiej postawie z jednej strony Europę, z drugiej — kraje zamorskie, i dramat ich przeciwieństwa, w chwili obecnej bardzo silny, posuwając do funkcji stałej, zaostrza go w tragedję całej cywilizacji naszej. Jego złowróżbny ton puszczyka rodzi się z fatalizmu, w jaki dobrowolnie zakuwa swoją myśl, gdy próbuje spojrzeć w ferment gospodarki współczesnej.

Czyżby „djabeł“, który dotychczas straszył po zaściankach polskich, zaczynał „broić“ w Europie?

Dmowski nie bierze pod uwagę, że diagnoza jego, zaczerpnięta z uproszczonej obserwacji kryzysu Niemiec i Anglii, nie ogarnia już Francji; że jeśli chodzi o Anglję, to i tutaj redukcja źródeł jej kryzysu do utraty rynków zamorskich jest niesłychanym zubożeniem zagadnienia.

Uparty monoideizm, będący ubocznym produktem tej

samej deficytowej myśli, która, chcąc usprawiedliwić lub załatać swe braki, stworzyła i zrehabilitowała „djabła“ w jego najautentyczniejszej roli niezwykniętego „Przeciwnika“, doprowadza Dmowskiego do deterministycznej tezy o nieuchronnym upadku wszystkich dzisiejszych potęg świata.

Przebiegając w „spisie rzeczy“ tytuły i tematy rozdziałów jego ostatniej pracy, doznajemy wrażenia, że czytamy nagrobki, ustawione na cmentarzysku dziejów: „Zmierzch germanizmu“... „Upadek dyscypliny protestanckiej“... „Upadek Wielkiej Brytanji“... „Tragedja Europy“... „Katastrofa inteligencji“... A dalej: Włochy trzeszczą pod ciężarem własnych zbrojeń i podatków... Hiszpanja miota się w konwulsjach... Watykan zda się iść na lep komiwojażera, spiskującego przeciw Moskwie... Polska zawiodła wszystkie nadzieje paryskiego „Komitetu Narodowego“. Doprawdy, wobec tylu napiętrzonych gróźb, na czym-że oprzeć oko, spragnione jaśniejszego motywu wiary w przyszłość własną, wiary niezbędnej do życia?

W otchłani mroku, djabelskiem zaludnionej nasieniem, Roman Dmowski, na szczęście, dostrzega jedno światółko boże i nie pozostawia nas bez nadziei. Na cywilizację zachodnią, zwłaszcza zaś na znieprawienie protestanckie, spuszcza gniewne deszcze potopu, ale gołębicą, którą — po dniach gniewu — wypuści ze swej arki,

nie wróci bez gałązki oliwnej, niosącej znak wiary, przy-
mierza i odrodzenia. Kto zna

 a b e c a d ł o p o l i t y c z n e D m o w s k i e g o ,
temu nie trzeba dodawać, że jego gołąbica uszczknie swą
gałązkę oliwną — na moskiewskim Kremlu.

IV.

Ex oriente lux! Ze wschodu płynie światło dla oczu Dmowskiego. Cywilizacja zachodnia chwieje się, jego zdaniem, w posiadach. Ale Rosja stać będzie, stać musi niezachwiana: w niej bowiem spoczywa odtąd przedmurze i dziedzictwo Europy; w niej tai się kolebka bogów, w niej — opoka, której bramy piekiel nie przemogą.

Umysł, szerszej dostępniejszy rozwadze, nimby wydał wyrok na Wielką Brytanię, lub na cały potężny odłam chrześcijaństwa, niezawodnie przypomniaby sobie, że już niejednej z możliwych potęg świata wrócono rychły upadek, a one tymczasem nadal niezgorzszem cieszą się zdrowiem i nawet w ostatnich czasach — przykładem: Francja — nowemi zakwitają rumieńcami życia. Ileż to wróżb czarnych wykrakano nad losem tej Francji pod schyłek ubiegłego wieku, gdy pomniejszona klęską r. 1870, na tle gospodarczego nowych lądów rozrostu, zdawała się tracić swe wpływowe stanowisko w świecie! A przecież jak potężnie dźwignęła się z chwilowej depresji, z jakim rozmachem jęła budować nowe afrykańskie

imperjum, na którego brzegach, nadomiar, odzyskuje swą dawną, zwycięską rozrodczość.

Wogóle z tem sypaniem mogił dla żywych nieboszczyków, zwłaszcza takich, które władają całemi lądami, i których obywatele lub klienci liczą się na setki milionów, należałoby więcej zimnej krwi zachować.

Andrzej Siegfried (autor „La crise britannique au XX siecle“), którego nikt z pewnością o schlebianie Anglikom nie posądzi, jest bezwarunkowo niemniejszym znawcą Anglii od Dmowskiego; i on wskazuje rysy w gmachu dumnej a doniedawna niepodzielnej władczyni mórz: ale jego wielostronna, pełna światłego relatywizmu, analiza jakże różna jest

o d w y r o c z n i, w y g ł o s z o n e j z p o l s k i e g o
S y n a j u!

Siegfried, obok czynników deterministycznych, szeroki udział w rozwoju kryzysu angielskiego wyznacza czynnikom woli ludzkiej i charakteru, bynajmniej przez konieczności materialne nie ujarzmionym.

Jedną z głównych przyczyn nadwątlenia ekspansji angielskiej wskazuje on, mianowicie, w wygodnictwie przedsiębiorcy, który w pewnego rodzaju dosycie życiowym czuje się „zbyt dumny, aby walczyć“ i tam zwłaszcza, gdzie chodzi nie o to, aby nowe gałęzi przemysłu budować, lecz aby stare uprawiać i doskonalić, poddaje się rutynie i zasypia na laurach nagromadzonego dorobku. Są

to nałogi, niewątpliwie, szkodliwe i na dłuższą metę musiałyby okazać się zgubne. Ale czy nie zbudzi się przeciw nim z samej głębi ducha angielskiego ofensywa i skuteczne remedium? Pamiętajmy, zresztą, że to, co traci Anglja, jako metropolja, zyskuje Anglja, jako dominja, i t. zw. kolonie koronne. To, co nazywamy „upadkiem Anglii“ jest po części przesuwaniem się ośrodka ciężkości w wielkiej międzylądowej konstelacji anglo-saskiej. To, co niektórym wydaje się uwiązaniem cywilizacji europejskiej, jest może jej odkwitaniem na nowej szerszej podstawie.

Ale autor „Świata powojennego i Polski“ śpieszy się gorączkowo z proklamowaniem zmierzchu Zachodniej Europy.

J e s z c z e n i e u m a r ł a , a j e m u p i l n o
j u ż z a m a w i a ć p o g r z e b .

Aby spotęgować wrażenie jej upadku, przyśpiesza tętno dziejowego filmu. Aby skrócić oczekiwanie katastrofy, miga perspektywą tysiącoleci. Dmowski śpieszy się gorączkowo i wie dlaczego. Miljon uczuć pędzi go przed siebie, i miljon żądał kasa go niecierpliwością, aby, nareszcie, nadszedł ów upragniony moment, w którym, stając u granic Eurazji, w progach wielkiej, archanielskiej Rosji, mógłby zaintonować ku jej chwale „Hosanna“ i „Te deum...“ Wtedy, ale wtedy dopiero, czuje on, że na wieki zdławiłby i pokonał tego „djabła“, który go ściga,

i uwolniłby się od jego przeklętych usług. Jak prędko przyjąć może ta chwila wybawienia?

— „Zważywszy szybkie postępy Chin i jednoczesny upadek sił Europy — konstatuje niecierpliwym Autor — dojsć można do przekonania, że ta chwila bodaj nie leży w zbyt odległej przyszłości“ (str. 197).

Lecz dlaczego — spytajmy — tak gorączkowo zależy Dmowskiemu na tem, aby ludzie uwierzyli w szybkie postępy Chin i w jednoczesny upadek sił Europy?

Ah, tu spoczywa klucz jego namiętności. Tu wali młotem serce największej tęsknoty, najzarliwszej troski jego życia.

— „Może przyjąć czas — przepowiada ten prorok Eurazji — że ci sami, którzy dziś marzą o rozbiórce Rosji, będą z niepokojem zapytywali, czy jest ona dość potężna, ażeby napór chiński wytrzymać“.

Oto śmiertelny lęk, oto najżywotniejsza troska Romana Dmowskiego: czy jest ona — pyta z drżeniem obawy — czy jest ona dość potężna, aby...

Ona: kto? Polska? Nie! Rosja, Rosja, Rosja!... Gdy Dmowski trwoży się o przyszłość cywilizacji, to — wiedźmy to raz na zawsze — lokuje zaufanie swe na cudzej ziemi,

p o d s k r z y d ł a m i R o s j i.

Europejczyk, nie zaślepiony namiętnością; Polak, rozumujący spokojnie, mógłby oświadczyć: o konfliktach

wieków przyszłych rozstrzygać będą wieki przyszłe. Skoro starcie Rosji z Chinami nie jest kwestją dnia najbliższego; skoro nastąpić może za lat sto lub dwieście, to skąd wogóle wiedzieć możemy już dzisiaj, jaką pozycję w cywilizacji przedstawiać będą obaj zapaśnicy? Czem będzie Rosja za lat sto? Czem będą, w stosunku do Rosji, Chiny za lat dwieście? I kto z nas wogóle uczuje się dość kompetentny, aby wziąć udział w dyskusji na tak postawionej platformie? Aby móc sądzić o fantastyczności tego rodzaju zainteresowań, trzeba by wiedzieć, naprzykład, jak sobie dzisiejszą Amerykę Północną lub Japonję wyobrażali praojcowie nasi z czasów Sobieskiego.

A przecież zainteresowania te spędzają sen z powiek Romana Dmowskiego, który już dziś straszy nas grozą żółtego niebezpieczeństwa. I nie za lat sto lub dwieście, ale dziś, ale natychmiast, żąda od nas deklaracji prorosyjskiej. A więc deklaracji, któraby nas zgóry, na sto lub dwieście lat naprzód, przytroczyła do rydwanu Rosji, pod znakiem jakiegoś wspólnego, chimerycznego przedmurza przeciw Chinom.

Aby ocenić heroizm tej orientacji, trzeba pamiętać, że państwo, któremu mamy otworzyć ramiona, jest państwem komunistycznym, jest Rosją Sowiecką, i że innej Rosji nikt, nawet Dmowski, na najdalszym horyzoncie nie widzi. To więc państwo, któremu powierza on obronę cywilizacji europejskiej, jest najbezwzględniejszym, jakie wystawić sobie możemy, zaprzeczeniem trójźródła, z jakiego

duch naszej cywilizacji wypłynął: jest zaprzeczeniem filozofji helleńskiej, prawa rzymskiego i etyki chrześcijańskiej. Czemże tedy są Chiny, jeśli

po obronę przeciwko nim każe nam
D m o w s k i iść aż do Antychrysta?

Nie dajmy wszelako uwieść się pozorom grozy: Chiny w dialektyce Dmowskiego nie są bynajmniej djabełem straszniejszym od Antychrysta. Owszem, są zwykłym sobie djabełem; owym djabełem pospolitym, którego Autor wywołuje z kałamarza zawsze, ilekroć zbraknie mu argumentu. Tym razem jego uczynny djabeł ubrał się w war-kocz Chińczyka, aby usprawiedliwić nowe wydanie orjentacji pro-rosyjskiej.

W gruncie rzeczy dla Romana Dmowskiego obojętną jest sprawą zarówno wewnętrzny ustrój Rosji oraz jej stosunek do kultury, jak jej domniemany wróg. Przeciwno Chinom z Sowiecami iść gotów Dmowski z takim samym zapalem, jak szedł z caratem przeciw Niemcom i Austrii.

G d z i e R o s j a, — j a k a k o l w i e k R o s j a, —
t a m i o n.

V.

Gdy Dmowski, dosiadłszy swego ulubionego konia, zacznie hasać po stepach i po stuleciach Rosji, próżno-
byśmy już szukali w nim powściągów tego choćby ułam-
kowego realizmu, którym wyróżniał się on i na pewnych
ograniczonych polach nawet imponował: tu, na szerokim
stepie eurazyjskim, upiwszy się potęgą i bezmiarem Ro-
sji, gubi on nie tylko realizm i swój zdrowy rozsądek, ale
i... p o l s k ą terminologję polityczną.

— „Nasz sąsiad wschodni — stwierdza w pewnym
miejscu (str. 75) — jest najbardziej militarnem pań-
stwem na świecie“, lecz już na stronie następnej, zacie-
rając to stwierdzenie, skwapliwie pociesza czytelnika, że
„sowiety“ z jednej strony są zbyt zaangażowane w Azji
i zbyt zmuszone do czuwania nad bezpieczeństwem swych
granic wschodnich, z drugiej — zbyt dobrze rozumieją,
jak liczne i wpływowe żywioły na zachodzie szukają tylko
sposobności, żeby im cios śmiertelny zadać“.

Któż to mówi? Polityk polski? Jeśli mówi polak, to
czemuż wciela się nie w interesy polskie i nawet już nie
w interesy polityki rosyjskiej, ale w jej środki taktyczne,

przemawiając agitatorskim językiem „uciśnionego“ Kremlu?

Któż zagraża bezpieczeństwu rosyjskich granic wschodnich? Poważniejszym podbojom Japonji na wschodzie azjatyckim przeciwstawiają się Stany Zjednoczone. Chiny, atakowane w Mandżurji, pogrążone w chronicznej wojnie wewnętrznej, są jednocześnie szarpane i podkopywane właśnie przez wywrotową akcję komunistyczną Rosji. Mongolja jest dziś już faktycznie opanowana przez Rosję. Któż więc Unji Sowieckiej zagraża na wschodzie?

A co do zachodu: gdzież są te żywioły na zachodzie, które tylko „czekają sposobności“, aby „śmiertelny cios zadać sowietom“? Dmowski powiada, że są one „liczne i wpływowe“:

d l a c z e g o n i e w s k a ż e p a l c e m
c h o ć j e d n e g o ?

Czemu nie wymieni jednego, przynajmniej, państwa, kującego broń przeciw Sowietom? jednej bodaj partji lub siły społecznej, wszczynającej przeciw nim krucjatę? Socjaldemokracja, skupiona w II Międzynarodówce, kończy, jak wiadomo, wszystkie swe kongresy manifestami ciepłej sympatji dla „jedynego w świecie państwa proletariackiego“. Więc może z nożem na Sowiety idą wrogowie socjalizmu: Hitler i Mussolini? Gdzież tam! Faszyzm tępi komunistów u siebie, ale dla Rosji komunistycznej ma tylko ukłony. Więc może burżuazyjna Francja lub

plutokracja amerykańska chce zadać Rosji bolszewickiej ów „cios śmiertelny“, przed którym ostrzega ją Dmowski? Wolne żarty. Ameryka buduje Sowiecom przemysł, Niemcy organizują ich siłę zbrojną, Anglja proponuje kredyty, Francja targuje się o dawne pożyczki, by móc lokować nowe...

Liczne i wpływowe żywioły, mające rzekomo czyhać na niewinną cnotę sowiecką, są terminem dobrze znanym, i nawet znanym urzędowo, ale na sowieckich plakatach propagandowych. Tam do spełnienia mają rolę wiadomą: głodnemu robotnikowi i bosemu chłopu w Rosji tłumaczą niepowodzenia reżymu komunistycznego wrogiemi działaniami potęg kapitalistycznych. Lecz jaką pełnią rolę na kartach książki polskiego autora?

Z pośród „licznych i wpływowych“ żywiołów, czyhających na zgubę Rosji sowieckiej, Dmowski nie wskazuje nikogo poza anonimową i zagadkową osobą komiwojażera. Lecz gdzież były wpływy tej możnej osoby w r. 1920, gdy bolszewicy szli na Warszawę, aby na gruzach Państwa Polskiego stworzyć wspólną granicę z Niemcami? Dmowski tłumaczy się, że jego komiwojażer spał, dopóki w Rosji rozlegały się tylko jęki mordowanych ofiar teroru. Obudził się dopiero na odgłos młotów i na huk maszyn, instalowanych w Rosji, aby stworzyć przemysł sowiecki. Ale — spytajmy — kto wiezie te maszyny do Rosji, kto je montuje na użytek Sowieców, kto buduje „Donbasy“ i „Dnieprostroje“, jeżeli nie komiwojażer Dmowskiego?

Kto sowietom wyjednywa kredyt zagraniczny? Jeżeli jakiś komiwojażer europejski jest, jak utrzymuje autor, w kłopotcie z powodu Rosji sowieckiej, to chyba wskutek konkurencji zbyt wielu żywiołów, gotowych jej sprzedawać swe towary, swe stosunki, swe usługi. Ile podskórnej sympatii ku Sowietom żyje nietylko w kołach przemysłowo-handlowych, ale i w sferach elity umysłowej Zachodu, o tem mieliśmy możność przekonać się choćby z ostatniej gościny G. B. Shawa w Moskwie i jego dziękczynnych za stołem sowieckim toastów ku czci czerwonego mocarstwa.

Jeśli więc ów „komiwojażer“ nie jest kontrahentem lub partnerem Sowietów, to z pewnością jest tylko jeszcze jednym djabełem, przez Dmowskiego namalowanym na ścianie;

j e s z c z e j e d n y m z o w y c h d j a b ł ó w,

na których wspiera się kulejąca jego djalektyka.

Djabeł ten, przecież, jakkolwiek malowany, nie jest nieszkodliwy. Ponieważ autor maluje go na ścianie naszej Rzeczypospolitej, przeto, ilekroć bolszewizm zechce zadrażnić swój stosunek sąsiedzki z Polską, zawsze, powołując się na artykuły Dmowskiego, będzie mógł winę niepokojów składać na Polskę. Djabeł wymyślony przez Polaka, kapitalne potrafi oddawać usługi władcom Rosji.

Dmowski, wprawdzie, wyraża wątpliwość, „ażeby dziś czy w bliższej przyszłości, Sowiety rzuciły się dobrowolnie w wojnę z Polską“ — i w wątpliwościach tych jest

wiele słuszności. Ale czyż stąd wynika, aby Polska miała sama osłabiać swą pozycję wobec Rosji? Autor dobrotliwie pyta nas, czegoby Rosja sowiecka szukała w wojnie z Polską? Niech raczej spyta historii! Ta odpowie mu, czego w wojnach z Polską szukała Katarzyna II i czego wyrzec się nie chcieli jej następcy aż do Lenina i Tuha-czewskiego. Szukali oni naszych ziem wschodnich, szukali bezpośredniej granicy z Niemcami oraz nowego pola dla imperjalizmu, który na godłach swych dawniej miał wypisane hasło „wyzwolenia braci słowian“ a dziś niesie hasło „wyzwalania proletariatu“. Przez Polskę — trzeba to przypominać? — prowadzi droga rosyjska do pochłonięcia Litwy i Łotwy, do zdobycia krajów o które walczyła Moskwa od Iwana IV.

Na jak kruchej, zresztą, nici wisieć może zagadnienie wojny i pokoju, pokazuje sam Dmowski już w przedmowie do swej publikacji. Twierdzi on, mianowicie, że, gdyby nie jego artykuły, we właściwej porze ogłoszone na łamach „Gazety Warszawskiej“, „Kurjera Poznańskiego“ oraz paru innych dzienników, kto wie czy Polska, Rosja a z nimi i cała Europa nie stałyby już w ogniu ponownej wielkiej wojny. Na szczęście myśl Dmowskiego czuwała — i uderzyła na trwogę. „Artykuły — czytamy (str. 6) — odbiły się głośnym echem zarówno w Rosji, jak na Zachodzie“. One to, skromnym zdaniem autora, „przyczyniły się“ w znacznej części „do przerwania wojowniczej akcji“.

Boże mocny! Lecz cóżby się było stało z Polską, z Ro-

sją, z całą Europą, gdyby nie te parę artykułów Romana Dmowskiego? Zaręczał on nam, że Rosja nie ma czego szukać w Polsce, a oto okazuje się, że gdyby nie znalazł się między nami mąż, który, jak nowy Reytan, legł wpoprzek Losu, już lałaby się krew obu narodów.

Lecz Dmowski dokazał tego, co nie udało się Reytanowi: odwrócił od progów ojczystych klęskę; zgadzamy się bowiem, że „ta wojna, czy przegrana, czy wygrana, dla Polski byłaby klęską“. Gdyby słowom jego wierzyć, uczyniłby on rzecz tak wielką, że przewyższyłby nią nie tylko nieszczęsnego Reytana, ale i wielkich polityków i największych cudotwórców. Bo, przecież, gdyby Dmowski, gospodarując na swym folwarku w Chłudowie, zdołał być tylko wojnę przewidzieć, już byłaby to rzecz wielka. Ale on ją nie tylko przewidział, lecz i słowem własnym powstrzymał. Stwierdzając swą zasługę, Dmowski z męża stanu przemienia się w maga, władnego gasić i zapalać wojny, a może — kto wie? — także rozkazywać i zapobiegać trzęsieniu ziemi. Skoro pokój, którym cieszy się Europa, mamy do zawdzięczenia Dmowskiemu, to może i to, że nie zapadliśmy się pod ziemię, jest cudem jego zabiegliwej łaski.

Nie dziwi nas już teraz wonna amfora kadzideł w rękach prof. Folkierskiego. Stosunek do osoby Romana Dmowskiego w promieniu jego urzekających wpływów przestał być podstawą myśli i zastygł w formach bałwochwalczego obrządku.

VI.

Łakoma a niewybredna czułość ucha na głosy pochlebne bywa zawsze w człowieku refleksem i poszlaką jakichś tajnych a zawiedzionych ambicij, które, doznawszy rozbicia na polu zasadniczem, szukają sobie odwetu w zadośćuczynieniach sztucznych i ułudnych.

Im głębsze bywa rozbicie, im dobitniej zarysowują się ów „inferioritaetskomplex“, który jest osadem doznanego zawodu, tem silniej daje znać o sobie żądza mniemanych odszkodowań.

Fakt, że Roman Dmowski, nie poprzestając na kadzidłach, jakimi otacza go przyboczne „biuro apoteozy“, sam gotów jest piąć się po drabinie na pomnik, aby zasiąść na majestacie swych zasług i stamtąd sądzić Łukaszyńskich i Trauguttów, świadczy sam przez się, jak głęboko i boleśnie w duszy jego jątrzyć się musi ten „kompleks niższości“, sycony nieustannem wspomnianiem klęsk, które legły między jego snami o potęgę a rzeczywistością.

Natura, wyposażając Dmowskiego w ambicje władzy i panowania nad ludźmi, nietylko zapomniała słusznych im wyznaczyć granic, ale, co gorsza, nie postarała się o to,

aby uzbroić je w odpowiednie środki realizacji, w siły i talenty, sięgające nieco wyżej nad poziom popolitości.

Widzieliśmy, jak wąskie wokół siebie kręgi zataczał zawsze trzeźwy lecz krótkowzroczny realizm Dmowskiego. Był on dyktatorem partyjnym w sprawach organizacji i taktyki, ale nawet w młodzieńczym, najbujniejszym okresie „narodowej demokracji“, jako redaktor „Przeglądu Wszepolskiego“, lotnością umysłu nie dorównywał Janowi Popławskiemu, wykształceniem nie mógł współzawodniczyć z Zygmuntem Balickim, wnikliwością analizy ustępował Tadeuszowi Grużewskiemu, wiadomości historycznych wypożyczał od Wacława Tokarza, odwagą cywilną nie mógł mierzyć się z Władysławem Studnickim.

Najpewniej czuł się Dmowski
zawsze w środowisku typów
raczej ubogich duchem,

nad którymi przewodnictwo nie wymagało ani trudu, ani większego wydatku myśli. Wyzbywszy się dość wcześnie z partji wszystkich, którzy go przerastali zdolnościami, a jednocześnie zręcznie zagarniając puściznę autorytetu po tych, którzy odchodzili lub wymierali, zdołał on przewagę swą oprzeć na tych niezbyt istotnych lecz efektownych zaletach, którymi górował nad innymi. Obdarzony rozległą pamięcią, szczęśliwą łatwością nabywania języków obcych, miał on jednocześnie rzadki dar zjednywania ludzi, wynajdywania kompromi-

su między stanowiskami rozbieżnemi, tuszowania kantów i kontrastów, wreszcie przystosowywania się do panujących poglądów i nastrojów.

Z takim kapitałem przyrodzonych lub historycznie wychowanych uzdolnień, Dmowski mógłby śmiało marzyć o niefatygującej karierze w kraju, zamrożonym przez zabory, okutym przez bezwład i apatię. Pod ołowianym sklepem niewoli mógł stać się gwiazdą swej epoki. Rzekł ongi ktoś o Władysławie Rabskim, że, gdy Warszawa żyła bezmyślnością, on był jej myślą. Z równą słuszością możnaby powiedzieć, że, gdyby Polska pozostała politycznie beczynna, Dmowski byłby jej czynem. Jego dar kompromisu, jego umiejętność przystosowywania się do środowiska, jego kolosalny talent asymilacyjny, nawet serce jego, wyziębione z uczuć, oddałyby mu wtenczas nieocenione usługi.

Jego wyklinanie powstań spadałoby
na zgięte czoła niewolników, jak
oliwa rozgrzeszenia,

pozwalająca zapomnieć o zbeszczeszczonych grobach przeszłości.

Ale wypadki, ku którym Polska szła z nastaniem wieku XX, niosły jej nie stabilizację bezwładną i martwość pod jarzmem zaborców, lecz przełomy i burze, mające wstrząsnąć posadami świata i obalić mury niewoli.

Nie ugodę i pokój głosiła ewangelja idącego stulecia,

ale ogień i miecz. Zapowiadała nie zgon tradycji powstańczej, ale jej odrodzenie, triumf.

Jeśli nadciągała wielka wojna narodów, jeśli w tej wojnie odrodzić się miało Państwo Polskie, to było rzeczą oczywistą, że w takiej chwili nie było zadania pilniejszego, niż zbroić się do walki, kuć oręż niepodległości.

I tu zaczyna się nieprzerwany łańcuch błędów i klęsk Romana Dmowskiego, straszliwe pasmo jego nieporozumień z epoką.

N a ł o g o w i e c k o m p r o m i s u,

który niejedno mógłby wskórać tam, gdzieby chodziło o wyjednywanie drobnych ustępstw, o meblowanie lub przyozdabianie kojca niewoli, trafił na epokę, w której dźwignią odkupienia stać się miał żołnierz polski; w której o losie narodów rozstrzygać miał wyrok żelaza i krwi.

Człowiek, który, jako prezes koła polskiego w „Dumie“ petersburskiej zalecał swym kolegom partyjnym głosować za budżetem armji carskiej, przekonać się miał, że dopiero pogrom caratu pozwoli mu wypłynąć na pełne morze Polski niepodległej.

Kto nie chce podawać w wątpliwość jego patriotyzmu, ten musi stwierdzić jego krótkowzroczność.

Kiedy w r. 1908, w parę miesięcy po „dniach słowiańskich“ w Petersburgu, wybuchnął konflikt rosyjsko-austriacki w sprawie Bośni, Dmowski przyznał się Władzy

sławowi Żukowskiemu, że nie wdawałby się w akcję „neosłowiańską“, gdyby był wiedział o nadchodzącym konflikcie.

G d y b y b y ł w i e d z i a ł ! . . .

Czyż nie tak brzmi zasadniczy w działalności Dmowskiego motyw, narzucający się nieodparcie po każdej jego wielkiej przegranej?

Gdyby wiedział, że z Dumy rosyjskiej wyjdzie z pustymi rękami, ba! gorzej, bo z wyrzeczeniem się Chełmszczyzny — czyżby wzywał na wybory do niej, jak na jaką uroczystość narodową? Gdyby przewidywał, że Mikołaj Mikołajowicz skończy żywot na wygnaniu, czyżby przykuwał przyszłość Polski do jego strzemienia? Gdyby niósł w sercu brzask niepodległości, czyżby sprzedawał go za miskę autonomji, a potem nawet za koryto samorządu miejskiego, nadomiar rozbite?

Czyżby w przededniu wielkiej wojny zapędzał młodzież naszą, skupiającą w sobie ogień irredenty, z powrotem do zbojkotowanych szkół rosyjskich, gdyby przewidywał, że młodzież ta niebawem zdobędzie szkoły i wszechnice we własnem Państwie?

A przecież, aby pochwycić sygnały nadchodzących zdarzeń, nie trzeba było ścigać tajemnych znaków na niebie; nie trzeba było nawet wsłuchiwać się w burzliwe odgłosy kancelaryj dyplomatycznych lub w groźny szczełk zbrojeń w całej Europie. Wystarczało wsłuchać się w ło-

mot serc tej młodzieży, która, niemal od dzieciństwa sposobiąc się do boju za ojczyznę, ćwiczyła się wojskowo, hartowała wolę w karności i posłuchu, milczącym wzrokiem przysięgi wskazywała przyszłego Wodza.

Młodzi chłopcy, wiedzeni nieomylnem czuciem zadań, które ich czekały, wiązali się w ład żołnierski, w braterskie kadry pogotowia. Wzniosłemi hasłami uzbrajając dusze, stanowili sami przez się jakgdyby żywy, uosobiony rozkaz dziejowy, jakby ogniste wici wojenne, zapalone w duszy narodu. Mierzyli siły na zamiary. „Słyszeli wiadać, że powtórzymy tu słowa Żeromskiego, swym słuchem nieskalanym, gdy po nocach czuwali, wielkie kucie w ziemi nieubłaganego wojny Anioła. Zdawało im się, że ziemia drży i płonie, więc niema już czasu, ani spoczynku. Dokądś wciąż szli z pieśniami niepodległemi na ustach“...

Szli z pieśniami niepodległemi. Ale on, ale Dmowski tych pieśni nie słyszał.

Zapatrzony w gwiazdę „buduszczej Polszi pod skipietrom ruskawo carja“ *), odgradzał się zrazu od wszystkiego, co niosło zapowiedź nieuchronnej wojny, a skoro wojna wybuchła, bez wahania oświadczył, że „jedinstwiennoje spasienie Poljakow w moguszczestwie Ros-siji“ **), wzmacniając tę deklarację polityczną wyznaniem sentymentalnem: „Nynie Poljaki proniknuty sozna-

*) „...przyszłej Polski pod berłem cesarza rosyjskiego“.

***) „jedyny ratunek Polaków spoczywa w potędze Rosji“.

njem połnoj nieotdielimosti ot Rossiji... Dla Poljakow nieobchodimost' znat' russkij jazyk wytiakajet iz naczała jedinenja z Rossijeju" (S. Askenazy: „Uwagi“, str. 437 i nast.) *).

Te śluby wierności Dmowski składał caratowi w lipcu r. 1915 na „sowieszczanjach“ odbywanych pod przewodnictwem Goremykina: każde słowo, które tam padało; każde, które sam zmuszony był wygłosić, było wypieraniem się niepodległości w chwili, gdy niepodległość pukała już do naszych drzwi więziennych, gdy niewstrzymany pochód swój znaczyła krwią pierwszych żołnierzy Piłsudskiego.

*) „Polacy obecnie ożywieni są poczuciem całkowitej niepodzielności z Rosją... Dla Polaków konieczność znajomości języka rosyjskiego wynika z zasady zjednoczenia z Rosją“.

VII.

Co dzieć się musiało w umyśle Dmowskiego, gdy imieniem swej partji, biorącej przecież nazwę od miana „narodu“, kładł „jedyny ratunek Polski w potędze Rosji? Tej Rosji — pamiętajmy — która już wila się w przedśmiertnej rasputinjadzie caratu, od góry przeżerana cynizmem i przedajnością, od dołu toczona skrycie rakiem bolszewizmu.

Polityk polski, który

pchał naród swój w ramiona Rosji,
pochylonej nad przepaścią najkrwawszego przewrotu i gotowej pod gruzami swemi zasypać wszystko, co z nią dolę swą zwiąże, polityk taki, naprawdę, usprawiedliwienia dla siebie mógłby szukać w tem tylko, że nie wiedział, *nie widział*, co czyni.

Z czasem, po latach, Dmowski, gdy mu się oczy otworzą, będzie się usprawiedliwiał inaczej. Napisze, bardzo długie, bo aż ponad 600 stronic liczące wypracowanie („Polityka polska i odbudowanie państwa“, 1925), aby udowodnić, że w „sowieszczanjach“ pod przewodnictwem

Goremykina nie mówił prawdy, że świadomie i z całą premedytacją kłamał. Kłamał — powiada — aby uspić czujność Moskali. Kłamał, aby deklaracjami miłości powstrzymać rząd carski od zawarcia odrębnego pokoju z Niemcami.

Kłamał? kusił? obełgiwał? uwodził? Nie! Tu musimy stanowczo wziąć Romana Dmowskiego w obronę! Kłamał? Lecz kogoż w takim razie zamierzał oszukać? Polakożerczych ministrów Mikołaja? Ależ na to, aby fortel się udał, musiałyby Dmowski z księgi dziejów wyrwać sto lat historii polskiej, pisanej krwią insurekcyj; musiałyby spalić portrety Kościuszki, księcia Józefa, Mickiewicza, musiałyby skonfiskować napisy na grobach.

Musiałyby zakopać w ziemi sto lat
literatury polskiej.

I gdyby nawet sam sobie na chwilę uwierzył, czyżby mu uwierzyli Moskale? Czyżby wydarli z wieńca swych laurow liść Suworowa i Paskiewicza? Czy zapomnieliby o Olszynie Grochowskiej, o trwodze, jaką napełniało ich samo imię Polski, ustawicznie wymazywane, a więc ciągle niebezpieczne?

Nie! jeśli wiernopoddańcze deklaracje, jakie Dmowski składał największym polakożercom w Rosji, były kłamstwem i miały stać się fortem wojennym, to jakichże niesłychanych, zaiste nadnaturalnych wymagał fortel

ten warunków, jakiego cudownego splotu okoliczności, aby się udał!

Niedość bowiem, że w to ryzykowne oszustwo uwierzyć musieliby Rosjanie. Warunkiem jeszcze istotniejszym dla jego powodzenia było to, że nie powinni byli — broń Chryste Panie! — uwierzyć w nie aljanci zachodni Rosji. Co więcej: nie mogli, pod karą samozagłady narodowej, nie powinni byli wierzyć w nie i rodacy. Rodacy, którzy w takim razie powinni by z samych składać się Metternichów, musieliby udawać, że wierzą w to, w co wierzyć nie chcą Moskale, a w co wierzyć nie powinni ich sprzymierzeńcy. Co innego tedy musiały nasz Machiavelli mówić rodakom nad Wisłą, co innego Rosjanom nad Newą, jeszcze co innego Francuzom i Anglikom. Co innego wreszcie sam sobie. Ale człowiek, który ma naraz tyle prawd różnych, a raczej który ma dla każdego inne kłamstwo, czyżby się sam w końcu w ich sieci nie zagubił? I u kogóż miałby siłę moralną żądać zaufania?

Szczyt zaś machjowelizmu w tej machjowelistycznej matni polegałby na tem, że to, co sam Dmowski za wierutne, jak mówi, uważał łągarstwo, to właśnie miało przechylić szalę wojny światowej: uwięzić cara w orbicie aljantów, rozbić z ich pomocą Niemcy, potem wykiwać Rosję, wreszcie zaprząć mocarstwa zachodnie do rydwanu Komitetu Narodowego!...

Tak skomplikowany system fortelów, gdyby miał do rozporządzenia tajne szyfry, własne kable, tajne gabinety

dypłomatyczne, jeszcze wtenczas przerastałby zdolności Talleyranda, Cavoura i Bismarcka, razem wziętych. Czemże stać się mógł w rękach działacza, który robił swą politykę na rynkach przed kościołem i na wiecach publicznych, którego najsilniejszym organem działania była „Gazeta Poranna — 2 grosze“, pierwszym zaś listem polecającym w salonach Londynu i Paryża — głejt carskiego ministra?

Nie,

D m o w s k i n i e k ł a m a ł , g d y s k ł a d a ł
p r z y s z ł o ś ć P o l s k i p o d b e r t e m
c a r ó w p ó ł n o c y .

Jego machjawelistyczna teoria fortelów powstała później, już na gruzach caratu, jako wybieg samoobrony. Ale z tego, że był on w rozmowach swoich z Moskałami szczerzy, nie wynika bynajmniej, aby to, co im mówił, z lekkiem wypowiadał sercem.

Ministrowie i dostojnicy carscy, wychowani w stuletniej szkole polakożerstwa („nahajka — mawiał ks. Uru-sow — rzecz dobra, byle nie w pijanych rękach“) nie byli łatwymi partnerami w grze politycznej z Polakiem. Kładli żelazną rękę na każdej koncesji, na każdej dzielnicy (Lwów, Wilno, Wołyń, Podole, Chełmszczyzna, część Suwalszczyzny) ustąpionej przez Dmowskiego, ale ze swej strony żadnych nie czynili przyrzeczeń, żadnych ścisłych nie brali zobowiązań, odraczając niepewną realizację ja-

kiejś pół-autonomji na czas powojenny. Najlżejszy w ustach Dmowskiego postulat, zastrzegający odrębność narodu polskiego w łonie wielkiego rosyjskiego imperjum, budził w partnerach jego mściwe, drapieżne, wręcz inkwizytorskie instynkty. „Jesli Polszu nielzia szczytat' czast'ju Rossiji — gromił Dmowskiego jeden z uczestników „sowieszczanja“, Bagalej — jesli Poliaki diejstwitelno sowierszenno osobyj narod, imiejuszczyj inyja nacjoanalnyja i kulturnyja zadaczi, to znaczi, opasnost' połna-owo otdielenja nie izczezła...“ *) (S. Askenazy: „Uwagi“, str. 442).

Z tych jadowitych, podejrzliwych słów, skierowanych wprost do Dmowskiego, widać, że Moskale, nie poprzestając na jego „deklaracjach“, sięgali do wnętrza jego uczuć, niweczyli jego rezerwy, w najskrytsze wdzierali się intencje, wyciskali pieczęć policyjną na jego najdalszych wierzeniach, tropiąc irredentyzm w każdej najnaturalniejszej postaci przywiązania Polaka do swej mowy, do swego odrębnego typu istnienia.

Jakież pole do fortelów wojennych, jakie wogóle widoki gry politycznej mógł mieć Dmowski z partnerami, którzy, nim zasiedli z nim do wspólnego stołu, już żądali

*) „Skoro Polski niemożna uważać za część Rosji, skoro Polacy są istotnie narodem zupełnie odrębnym, mającym swe własne zadania narodowe i kulturalne, znaczy to, że niebezpieczeństwo zupełnego oderwania się ich od Rosji nie przestało istnieć“.

zupełnej kapitulacji, już zażądali od Polaka wyprucia ze siebie wszystkich żył polskości?

Jeśli Dmowski brał z rąk ministrów carskich ów kielich samozatraty; jeśli pił z nimi tę czarę braterstwa brojni, która dla Polaków mogła być tylko czarą upokorzenia i rozpacz, to z pewnością nie dla fortelu, ale dlatego, że poza drogą rozpacz i zwątpienia, innej już drogi przed Polską i przed sobą nie widział.

VIII.

Historja pokazała, jak dalece Dmowski się mylił, szukając ocalenia Polski we współzyciu z Rosją. Cyrograf kapitulacji, który w rękach caratu zostawił, znikł wprawdzie wraz z caratem w dalszym wojny przebiegu. Ale pamięć cyrografu pozostała w duszy Dmowskiego, jak gwóźdź, przedwcześnie wbity w trumnę narodu... Piekło upokorzeń, przez które przepędziły go różgi carskich ministrów, pogłębiło się o całe nowe piekło zawodu, który wykazał, że upokorzenia były daremne, niedorzeczne.

I ta właśnie ich śmieszna, okrutna niedorzeczność nie pozwoli Dmowskiemu przyznać się do błędu.

N i e p o z w o l i m u o d s ł o n i ć r a n y,
w y p a l o n e j w s t y d e m.

Ona to każe mu stanąć na głowie, aby odwrócić dziejowy stosunek Polski i Rosji, piętrzyć fikcje na fikcjach, aby zachować wiarę w posłannictwo Moskwy. Ona mu każe bić czołem przed Sowietami za to, że nie roztrwonili podbojów carskich i ocaliły mocarstwowe fundamenty Rosji. Ona wreszcie każe mu za momenty własnej słabo-

ści, za politykę niewiary i zwątpienia o sile narodu mścić się na tych wszystkich, którzy nie zwątpili; którzy nieśli w sobie dumę, jego wskrzeszony oręż, jego bohaterstwo, jego niepodległość.

Z pasją zaślepienia, która przeczy już nietylko założeniom logiki, ale powszechnie znanym faktom historycznym, Dmowski uparł się i upierać się będzie do ostatka, że gwoźdź, wbijany do trumny polskiej w Petersburgu, był gwoździem ratunku, bo, symulując śmierć polityczną Polski, rozwiązywał Moskałom ręce do... wyprawy na Berlin.

Piekąca świadomość, że, gdy on, Dmowski, korzył się przed stopami skazanego na zagładę caratu, w tej samej chwili odkupieńczy oręż polski odradzał się i hartował w ręku żołnierzy Piłsudskiego; że odradzał się właśnie na froncie zwycięskiej wojny z Rosją; że doszedłszy z państwami centralnymi do pogromu Rosji, oręż ten zwrócił się konsekwentnie przeciw Niemcom i Austrii, aby potem, na gruzach wszystkich trzech zaborów, zakreślić i umocnić granice Państwa Polskiego: świadomość ta jątrzy się i pieni w Dmowskim pianą wściekłości poprzez wszystkie jego wspomnienia, artykuły i publikacje.

Nie przebaczy on Piłsudskiemu tego, że umiał odwołać się do ofiarnej, rycerskiej krwi polskiej wtenczas, gdy on odwoływał się do wspaniałomyślności carów. Nie przebaczy Komendantowi Legjonów, że umiał w pokoleniu swem wskrzesić rozkosz umierania za Polskę, gdy on,

Dmowski, Polakom zalecał tylko śmierć udawać i... spokojnie czekać na podboje Moskwy.

Darowałyby on może Legjonom
ich zwycięstwa. Nie może im
darować swojej upokarzającej
klęski.

Nie przebaczy Piłsudskiemu tego, że szeregowiec jego Brygady lepszym, bardziej przewidującym okazał się politykiem w zawierusze wojny, niż wielokrotny prezes koła polskiego w Petersburgu. Ten szeregowiec-legjonista, bijący Moskali pod Łowczówkiem lub Kostiuchnowką, a potem jako szeregowiec lub oficer P. O. W. rozbrajający okupantów niemieckich i austriackich, stał się żywym, neodpartym dla Dmowskiego wyrzutem: najdotkliwiejszym symbolem deficytu jego polityki; najgroźniejszym djabłem jego ugodowego sumienia.

W uniesieniu mściwej namiętności, w opętaniu wizji prześladowczej, Dmowski nie poprzestając na wyklęciu Legjonów Piłsudskiego, ścigać zacznie ich ideologję na przestrzeni całego stulecia, gromiąc i zniesławiając wszystkie ruchy powstańcze, wszystkie insurekcje Warszawy, Wilna i Krakowa. Bunt Piłsudskiego przeciw царom gotów on ścigać i piętnować już w powstańczej przysiędze Kościuszki na rynku Krakowskim. Każda iskra walki, wznieconej przeciw Rosji, przyprawia go o dreszcz

oburzenia i gniewu. Każdy czyn irredenty polskiej wydaje mu się dziełem obcej, podstępnej intrygi.

Wziąwszy na kiel, jak oszalały rumak, Dmowski w końcu stanie dęba w obliczu rzeczywistości polskiej i da się ponieść swej pasji poza wszelkie szranki rozumu i nawet... koniecznej samoobrony. Djabła, wcielającego w sobie cudzoziemską, nienawistną i przewrotną intrygę, uczyni on dźwignią całych naszych dziejów rozbiorowych, kładąc na karb zamysłów szatańskich (czytaj: żydowskich i masońskich), wszystko to, co było oporem i walką przeciw najazdowi Rosji. Nie powstrzyma go ani czysty, płomienny entuzjazm Belwederczyków, ani wzniesiony miecz Kościuszki. Noc listopadową nazwie „nonsensem“, a w męczeństwie Traugutta, powieszono go przez Moskali, nie doszuka się żadnej „myśli“: żadnej, chyba tylko — żydowskiej! „Gdy przyjdzie odpowiednia chwila — mówi jeden Żyd do drugiego w autoryzowanym przez Dmowskiego djalogu („Dziedzictwo“ *), str. 142), — pchniemy Polaków do krwawych manifestacyj, żeby się dali zarzynać i zarzynali Polskę. Tak zrobiliśmy w 63 roku... I w tym jednym roku uszliśmy naprzód więcej, niż przez trzydzieści lat poprzednich... A Polakom przybywa jeszcze jedna rocznica do obchodzeń...”

Oto kwintesencja historjografji polskiej w ujęciu Romana Dmowskiego: sztandar walki o niepodległość wy-

*) Powieść, ilustrująca poglądy polityczne Romana Dmowskiego.

rwany z rąk Traugutta i zmieniony w ścierkę... żydowskiego geszeftu.

P o b o j o w i s k a, z a s i a n e k o ś ć m i
t r z e c h p o k o l e ń p o l s k i c h, D m o w s k i
ż y d o w s k i m n a k r y w a c h a ł a t e m ! ...

Zapewne: można ubolewać nad momentami czynu narodowego ze stanowiska trafności ich wyboru. Można ubolewać, że powstania wybuchały w chwilach nieodpowiednich. Że Belwederczycy nie ruszyli się, gdy carat prowadził wojnę z Turcją w latach 1828—29, a rzucili mu rękawicę, właśnie wtedy, gdy miał ręce wolne i ściągał swe wojska ku zachodowi dla ewentualnej rozprawy z rewolucyjnym duchem Belgji i Francji.

Ale czyjąż było winą, że nie skorzystano z chwili odpowiedniej?

Odpowiedzialność za to, w każdym chyba razie nie może obarczać inicjatorów i szermierzy powstania, tylko chyba tych ludzi, którzy podczas wojny tureckiej stali u steru Królestwa Kongresowego. Tamci nie rwali się do roli kierowniczej i czekali, co zrobi i nakaże starszyzna *).

Ale starszyzna, jakby uprzedzając „myśl“ Romana Dmowskiego, zapatrzoną w przyszłość Polski „pod skipietrom russkawo caria“, daleka była od ruchu powstań-

*) Por. T. Gruzewski: „Rocznica Listopadowa“. „Gazeta Polska“, Listopad 1930.

czego i zapewne nigdyby do niego nie wezwała. Skoro tedy dobra chwila minęła, musieli Belwederzczycy zgodzić się na gorszą, aby nie znaleźć się w takim położeniu, w którym o żadnym czynie nie będzie już mowy. Sam zresztą przebieg wojny 1831 roku świadczy wymownie, że nawet wtedy chwila nie była najgorsza, gdybyśmy tylko na samym początku nie byli popełnili fatalnych błędów i nie zmarnowali blisko trzech miesięcy.

Potępiając powstania polskie i dla urągowiska ubierając samą ideę powstańczą w strój żydowski, mamy prawo spytać, kogo Dmowski idei tej przeciwstawia? Ale napróżno czekalibyśmy odpowiedzi. Chcąc być w zgodzie ze sobą, musiałby wymienić Targowiczan oraz ich duchowe potomstwo. Na to wszakże braknie mu odwagi. Chcąc być konsekwentnym, musiałby także czapką żydowską nakryć nasz hymn państwowy: wszak mazurek Dąbrowskiego jest także powstańczą pieśnią legjonową!

Wiemy, że i na to nie starczy mu odwagi. Ale ten brak odwagi w doprowadzaniu swoich własnych myśli do logicznego wniosku, potwierdza naszą tezę, że cały stosunek Polski i Rosji w konstrukcji Dmowskiego wypłynął nie z rzeczowego przemyślenia faktów, tylko z mściwej pasji, poszukującej zadośćuczynienia i odwetu za doznane osobiste klęski i popełnione błędy.

Roman Dmowski stworzył swego djabła, aby — w marzeniu — móc pomścić na nim wszystko to, co przegrał w życiu.



PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



41652

**Nie wypożycza się
do domu**

20